TEKST I ZDJĘCIA: JAROSŁAW JOT-DRUŻYCKI

LUDZIE DROGI

Sobotni poranek. Jeszcze dobrze na kwadrans przed wschodem słońca. Do kościoła Najświętszego Serca Jezusa w Alejach Masaryka zdążają ludzie, podjeżdżają samochodami. Są wśród nich starsi i młodsi, w pojedynkę i parami, wreszcie rodziny z dziećmi – starsze będą szły, te mniejsze siedziały bądź leżały w wózkach. Wszyscy mają wygodne buty i małe plecaki. Za chwilę odbiorą przed ołtarzem księżowskie błogosławieństwo na trzydziestokilometrową pieszą wędrówkę do Matki Boskiej Frydeckiej.

– Jakby nie było jest to główne sanktuarium maryjne na Śląsku Cieszyńskim, w całym byłym Księstwie – mówi Sebastian z Dolnych Marklowic, który ze swą żoną Brygidą ponownie rusza pielgrzymkowym szlakiem. W zeszłym roku dołączyła do nich sześciomiesięczna córeczka, którą wzięli ze sobą i dziś.

Pustymi o tej porze ulicami Czeskiego Cieszyna rusza zwarta kolumna. Żegna ją miarowy dźwięk dzwonów. Ale póki co grupa idzie w ciszy. Brygida pcha wózeczek. Na osiedlu jednorodzinnych domków ludzie jeszcze śpią, znana restauracja też zamknięta, mężczyzna wyszedł na poranny spacer z psem.

Na czele tego pochodu niesiony jest krzyż i tablica z wizerunkiem św. Melchiora Grodzieckiego, patrona pielgrzymki, męczennika za świętą wiarę katolicką, ale i – bo ten aspekt jest niezmiernie ważny – jezuity. Więc choć już rok temu Prowincja Czeska Towarzystwa Jezusowego oddała parafię w ręce księży diecezjalnych, to tradycja duchowości Ignacego Loyoli pozostała. Również i w osobie kapelana XIV Pielgrzymki Zaolziańskiej do Frydku, który za chwilę się odezwie. I będzie jeszcze mówił, i mówił, i spowiadał w drodze tych, którzy zapragną pojednania z Bogiem.

Ale teraz grupa przekracza Sokołowską. Odziani w odblaskowe pomarańczowe kamizelki porządkowi Marian i Marek kierują ruchem i dbają o bezpieczeństwo, aby nikt nie wpadł pod auto, aby samochód o nikogo nie zawadził, aby wszyscy doszli szczęśliwie. Gwizdek. Stać. Idziemy. Tak, możemy iść. Samochód zatrzymuje się. Pielgrzymi machają do kierowcy. Marian daje mu znak. Puszczamy.

Na wysadzanej z obu stron drzewami ulicy Lipowej, na plecach pielgrzymów pojawiają się pierwsze promienie słońca, muskają delikatnie, ale i klepią po ramieniu, jakby zdawały się mówić

– Idziemy, idziemy. Matka na was czeka.

– Maryjo, idę do Ciebie z tym co przeżywam, z tym co jest dla mnie trudne, ale też z tymi moimi radościami, żeby podziękować za moje życie, za moją rodzinę, za wakacje, za ten czas, który przeżyłem z Tobą – odzywa się przez mikrofon o. Mateusz Janyga SJ, który do niedawna, przez dwa lata (2013–15) duszpasterzował w Cz. Cieszynie i uczestniczył w pielgrzymkach. A teraz przyjechał z Gliwic, by wspólnie ze swoimi dawnymi parafianami ponownie udać się w drogę do grodu nad Ostrawicą.

Grupa idzie ni to zwarta, ni to w rozsypce, ale równym krokiem. Pośrodku toczy się trzykołowy rower, na którym ustawiony jest akumulator i głośnik, by lepiej było słyszeć. Jedna z dziewczyn brzdąka na gitarze, Staszek gra na organkach, ludzie włączają się do śpiewu. Teraz czas na godzinki:

Zacznijcie wargi nasze, chwalić Pannę świętą,
Zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą.
Przybądź nam miłościwa Pani, ku pomocy,
A wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy…

* * *

Pierwszy przystanek. To wybudowana pod koniec lat trzydziestych ub.w. kaplica św. Antoniego w Mostach. Patrona rzeczy zgubionych i skradzionych.

– Ale Antoni też jest tym, który nam pomaga na nowo znaleźć Pana Jezusa, znaleźć naszą wiarę – znów słychać przez głośnik o. Mateusza. – Więc się pomodlimy za tych, którzy gdzieś się tam pogubili, zapomnieli o Panu Bogu, potracili się na drodze. I poprosimy o jego wstawiennictwo, byśmy na nowo wrócili do Pana Boga.

No to idziemy. Może się i nie pogubimy, choć kto to wie? Ale jaki ma to w ogóle sens? Po co ta cała peregrynacja? Nie wystarczyłaby niedzielna msza św., czy skromna, choćby li tylko pięciominutowa adoracja Najświętszego Sakramentu?

– Pielgrzymka nawiązuje do życia samego Jezusa. My jako chrześcijanie, chcąc Go naśladować, też robimy podobne rzeczy co On, a On był takim człowiekiem, który chodził od miejsca do miejsca i głosił Dobrą Nowinę o Bogu, o Królestwie Bożym i pielgrzymował, też i w spiekocie. Jezus był człowiekiem drogi – tłumaczy o. Mateusz. Dziarski krok, sutanna powiewa, stułę trzeba momentami podtrzymywać, by nie spadła.

Nagle pielgrzymka zbacza. Nie, to tylko złudzenie. Idzie dobrą drogą, tylko tu trzeba akurat skręcić, może i nadłożyć ten kilometr półtora, by móc pomodlić się w kościele Opatrzności Bożej w Koniakowie. Na widok zbliżających się pielgrzymów zabiły dzwony. Pątnicy wchodzą do środka, zajmują miejsca w ławkach. Modlą się za zmarłych pochowanych na przykościelnym cmentarzyku, na którym tuż obok stoi krzyż, poświęcony – o czym głosi stosowny napis po niemiecku – budowniczym i inicjatorom powstania tej świątyni, konsekrowanej w 1863 roku, księżom Józefowi Pociorkowi, Franciszkowi Ligockiemu i ówczesnemu członkowi rady gminnej Janowi Frankowi.

Kilkadziesiąt kroków dalej, przy sklepie na tarasie przygotowano już białe plastikowe ogrodowe krzesła. To Karol Joroszek tradycyjnie podejmuje pielgrzymów kawą i herbatą. To ta krótka chwila na odpoczynek i pogawędkę. Pani Jadzia Franek, inicjatorka zaolziańskich pielgrzymek do Frydku (i nie tylko) zbiera wpisy i każdemu pielgrzymowi rozdaje pamiątkowy znaczek.

Jak się zaczęła ta jej przygoda na pielgrzymkowym szlaku?

– Kiedyś nasi dziadkowie, pradziadkowie chodzili do Frydku. Ale czy akurat tą trasą? Tego nie wiem. Nie udało mi się do tego dotrzeć.

Więc Jadzia ustaliła tę trasę wraz z mężem. By nie było za długo, by nie chodzić – bo nie wolno i niezbyt to bezpiecznie – po głównych drogach, by było i przyjemnie, by po drodze można się było zatrzymać przy kaplicy czy w kościele na krótką modlitwę. Więc trzeba wybierać mniej uczęszczane szlaki, czy to rowerowe, czy piesze, czy ścieżki między polami. I tak już rok w rok w drugą sobotę września.

– Pan Bóg pobłogosławił i udało się. I tak mamy już czternastą – mówi i dodaje zaraz – Moim wielkim marzeniem jest, żeby do nas dołączyła Jaworzynka, bo w Jaworzynce jest Matka Boża Frydecka.

Tak. W tamtejszym kościele znajduje się kopia figurki przywieziona niegdyś przez pielgrzymów. Mówi się czasem, że tamtejsi górale przestali chodzić do Frydku, bo tak naprawdę oryginał mają u siebie, a tam w bazylice jest jedynie kopia… To taki żart. A „sranda" musi być, idziemy w końcu w pielgrzymce a nie w kondukcie. Ktoś obok żałuje, że nie mógł być tego dnia na innej pielgrzymce, na której też mu zależało, ale fizycznie to się nie da.

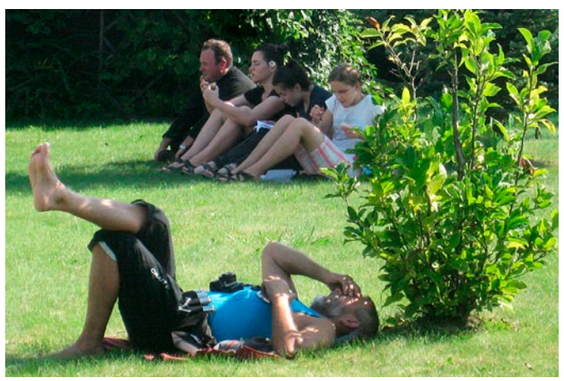

– Och gdybym miał dar bilokacji… – wzdycha.

– Więcej wiary bracie – słyszy w odpowiedzi. – Więcej wiary.

„Bracie", „siostro". Tak się tytułują pielgrzymi. Taki jest zwyczaj podczas wszelkich peregrynacji pieszych. Ale momentami brzmi to zbyt sztucznie, więc kto chce, kto ma ochotę, komu to nie przeszkadza prędko przechodzi „na ty". Wszak jesteśmy dziećmi tego samego Boga, braćmi i siostrami, ale mamy też imiona, które nam nadano na chrzcie świętym.

Modlitwa, śpiewy, kontemplacja, rozważania. Jurek Żoch z Cieszyna czyta swoje wiersze z tomiku „Miłość i Miłosierdzie". Proste, może niekiedy i banalne, ale pełne własnych przemyśleń nad duchowym życiem. Takie rymowane świadectwa, takie rymowane modlitwy:

Do Ciebie Matko się uciekamy
Orędowniczko przed Bożym Tronem
O wstawiennictwo pokornie błagamy
Prowadź nas dzieci grzechem poranione.

* * *

Dokąd nas prowadzi? Do Frydka. A robi się coraz goręcej. „Chrystus też w spiekocie pielgrzymował", dźwięczą w uszach słowa o. Mateusza. Kto nie wziął ze sobą czapki, kto wziął za mało wody ten jest w biedzie. I przypomina się przypowieść o pannach roztropnych i nieroztropnych…

Po paru godzinach jesteśmy w Domasłowicach, Dolnych Domasłowicach. A tam mieszkają państwo Češpivowie. On Czech, ona Polka. On miejscowy, ona z Dolnego Śląska, choć jej rodzice wywodzą się z okolic Nowego Sącza. Josef i Irena. Tuż przy wejściu do ogrodu mała kapliczka-grota Matki Boskiej. Pielgrzymi witani są chlebem i solą.

Na stole przed domem stoły uginają się pod jedzeniem. Ciasta, *kołocze*, pokrojone grube pajdy chleba, a w półmiskach twarożek, pasta rybna i jakby na przekór trzydziestostopniowemu upałowi smalec…

– Lubię tu przychodzić po ten smalec. Smalec to podstawa – mówi Marek.

– Ze *szkwarkami*?

– *Ja*. I to lepsze niż te ciasta – pogardliwy wzrok zatacza linię nad domowymi wypiekami.

I smalec znika w okamgnieniu. Pielgrzymi są głodni. Strawy muszą się równoważyć, ta duchowa z tą cielesną. W ogrodzie można się położyć, zdjąć buty, by odpoczęły stopy, choć z trudem tu można znaleźć kawałek cienia, to wszyscy są zadowoleni.

Zadowoleni są i gospodarze. Już po raz trzynasty witają pielgrzymów pod swoim dachem. A zaczęło się w 2004 roku, kiedy to…

– Przez koleżankę dowiedziałam się, że Jadzia organizuje taką pielgrzymkę i serdecznie ją zaprosiłam przez telefon. I stąd wiedziała, że ma się tu zatrzymać i niestety… udało się – śmieje się Irena.

Na początku dom jeszcze nie był gotowy, ugoszczenie kilkudziesięciu ludzi nie było takie proste.

– Nie było stołu, nie było niczego. Tylko gorące serca były – ale to wystarczyło widocznie, bo jak mówi Irena – Dopóki my będziemy, dopóki ten domek będzie stał, to będzie zawsze otwarty dla was, dla pielgrzymów.

A jest to jedyna pielgrzymka, która przechodzi przez tę miejscowość.

Przy drzwiach polska flaga, biało-czerwone wstążki powiewają na wietrze z balustrady balkonu, a przecież w Domasłowicach właściwie to Polaków nie ma. I nie było.

– Właściwie to ja jestem jedna w Domasłowicach mówiąca po polsku – twierdzi Irena. Jeśli chodzi o codzienne używanie literackiej polszczyzny to pewnie tak, choć według danych ze spisu z 2011 narodowość polską zadeklarowało 21 mieszkańców gminy, z tego ośmiu mężczyzn i trzynaście kobiet. Nieco ponad półtora procenta. Ale droga do Matki nie ma narodowości. Słychać język czeski w słowie, modlitwie, piosence.

* * *

Pątnicy dochodzą do Górnych Domasłowic, do kościoła św. Jakuba, opiekuna pielgrzymów. Z daleka już słychać, jak w Koniakowie, bijące dzwony. Tuż przed wejściem na cmentarz przykościelny przed budynkiem parafialnym dwie figury na kolumnach, św. Florian i oczywiście Frydecka Panienka. Dobrze, że świątynie postawiono na wzgórku, a nie kilka metrów niżej, bo zostałaby ta XVIII-wieczna budowla zalana przez wody „Żermanickiego potopu".

Rodzinka pstryka sobie pamiątkowe zdjęcie na tle kościoła. Są z Gliwic, ale tak nie do końca, bo ojciec domu *je tu stela*, z Piotrowic. Poznał żonę na studiach i zubożył – jakby to smętnie powiedziano – Zaolzie, ale ubogacił za to swoją nową „małą ojczyznę", a przede wszystkim rodzinę. Czy jego żona szła by kiedyś do Frydku, gdyby nie on? Pewnie do Piekar Śląskich prędzej lub do Częstochowy.

– Nasze dzieciaki chodzą od sześciu lat, my już sami jesteśmy tu szósty raz, ten – pokazuje na syna, który cały czas dzielnie drepcze – miał niecałe trzy, jak był tu po raz pierwszy, a teraz ma już dawno skończone osiem. Pielgrzymkowy mikrofon nagle trafia do ich rąk. Przez głośnik słychać dziecięcy śpiew:

Gdy Pan Jezus był malutki, *Tak piłował, tak heblował,*
Nigdy nie próżnował. *Tak wełenkę zwijał.*
Z Matką Bożą i Józefem *Nosił wodę, rąbał drzewo,*
Chętnie wciąż pracował. *I gwoździe przybijał.*

Mijamy przydrożny krzyż. Asfalt, asfalt, asfalt, asfalt. Przejeżdżające samochody, o których ostrzegają gwizdy Marka lub Mariana, z przodu lub z tyłu. A dalej między polami do kapliczki św. Anny. Normalnie zamkniętej, ale dzisiaj otwartej. Modlitwa różańcowa. To sobota czyli tajemnice radosne, rozpamiętywanie czasu przed działalnością publiczną Jezusa – Zwiastowanie, Nawiedzenie, Boże Narodzenie, Ofiarowanie i Odnalezienie wśród uczonych w świątyni.

Kolejny kościółek na trasie. A właściwie to kaplica, o okazałych jak na kaplicę rozmiarach, kaplica św. Jana Nepomucena w Październej, jednej z mniejszych wiosek nie tyle z tych, które spotkali na swej drodze pielgrzymi, co w ogóle w okolicy. Katolików jest tam raptem 76 i służy im bruzowicki proboszcz ks. Paweł Motyka, który ponadto odprawia msze św. w Żermanicach i Kaniowicach. I jeszcze ma pod sobą parafię w Siedliszczu. On też jest ciągle w drodze. Taki klasyczny wręcz podręcznikowy proboszcz, postawny, uśmiechnięty i gadatliwy. I zachęcający do spotkania z Bogiem.

– My kapłani modlimy się brewiarzem. To jest sześć modlitw każdy dzień. Dobrze jeśli pomodlimy się jeden dwa różańce na więcej albo jedną dwie koronki.

– To jest powołanie – odezwał się ktoś z podziwem.

– Najpiękniejsze – dopełnił duchowny natychmiast.

– Oj powołanie do małżeństwa też jest piękne – odezwała się na to jedna z pątniczek, czym rozbawiła swoje siostry i braci w pielgrzymowaniu. I w tym momencie usłyszałem za sobą męskie westchnienie

– To ci *dziepro* koronka…

I już nikt nie wie czy łatwiej wytrwać w kapłaństwie, czy w małżeństwie. Pokusy czyhają na jednych i na drugich, by zstąpić z raz wybranej drogi.

Więc po co jest pielgrzymka ojcze Mateuszu?

– To jest nawiązanie do naszego życia, które jest drogą. Zmierzamy do jakiegoś celu. To sanktuarium maryjne, takie powiedzmy „nasze Niebo". A tu jest ta nasza droga, zmaganie się. Ale też jest ważne, że idziemy razem, że podejmujemy ten trud razem, że się modlimy razem. I to jest takie też umocnienie dla nas.

– A ja to bardziej traktuję jako takie naładowanie akumulatorów – odzywa się Daniel. – Człowiek pędzi w tej bieganinie życia, praca, dom. Wiadomo, to wszystko jest ważne, ale tu może się troszeczkę wyłączyć i spojrzeć na to swoje życie z takiej trochę szerszej perspektywy.

Szeroki widnokrąg. Idziemy dalej, asfaltem, potem skręcamy w polną drogę a dalej ścierniskiem. Upał nie do wytrzymania. Odprawiana w marszu Droga Krzyżowa. Nogi bolą, iść się nie chce, spiekota, pragnienie, a iść trzeba. Kontemplowanie kolejnych stacji Męki Pańskiej tej ostatniej drogi Jezusa na tym świecie.

A ostatni postój wypadł w lasku koło Frydku. Ostatni to moment, by coś zjeść, wypić, przebrać się porządniej, jeśli ktoś paradował w stroju sportowym, a chce jednak godnie przekroczyć progi świątyni. Dwie dziewczyny zakładają śląskie cieszyńskie stroje. Po wejściu do miasta to one będą prowadzić pielgrzymów.

A na miejscu, w bazylice Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny – niespodzianka. Przyjechało sporo osób, do tego dwa chóry PZKO – „Stonawa" i „Lira" z Karwiny-Darkowa, ale i rodziny pielgrzymów. Dzwonek. Zaczyna się eucharystia. I wnet rozbrzmiał kościół modlitwą i śpiewem.

– Jesteśmy zmęczeni, utrudzeni – mówi podczas kazania o. Mateusz – ale teraz jesteśmy już w domu matki. Jak się wraca do domu mamy, to tam wszystkie zmartwienia troski zostawiamy na boku.

Na twarzach radość, że aż słowa ze św. Pawła same wchodzą w usta: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem" (2Tm4,7).

* * *

Więc jak z tą pielgrzymką?

– Ale też jest to taka manifestacja naszej wiary, naszej tożsamości. Że idziemy, że śpiewamy, ludzie nas widzą, słuchają.

Ktoś pozdrowi, odpowie na machanie, ktoś radośnie zatrąbi klaksonem, ktoś spojrzy pogardliwie, wzruszy ramionami, zaklnie lub zaśmieje się szyderczo. Tak jak i w życiu. Spotykamy i dobrych, i złych ludzi. Tych, którzy nas lubią, tych, którzy nas nienawidzą i tych, dla których jesteśmy obojętni. A my mimo tych trudności kroczymy dalej. My – ludzie drogi. ■